

**Rozdział pierwszy,**  
*w którym się dowiadujemy, że poród to szok dla dziewczyny...  
ale większy dla jej krewnych i znajomych.*

Do przestronnego wnętrza wszedł jasnowłosy mężczyzna. Mógłby uchodzić za interesującego, gdyby nie bijąca od niego dziwna rezygnacja. Czuł się bardzo zmęczony, choć była dopiero siódma rano. Bez emocji rozejrzał się po przedpokoju. Sterylność wyłożonego terakotą pomieszczenia zawsze go irytowała, a szarobiały minimalizm – przytłaczał. Na dworze panował upał, jednak w mieszkaniu było zimno. I nie chodziło tylko o aranżację apartamentu, lecz o atmosferę. O wrażenie smutnej i jałowej pustki.

Mężczyzna zdjął buty, żeby niepostrzeżenie przemknąć do kuchni. I ta sztuczka prawie mu się udała. Prawie, bo gdy znalazł się na progu, ujrzał przy stole swoją żonę.

– Co się tak skradasz? Jak złodziej! – przywitała go niechętnie i skrzywiła ładne usta w grymasie niezadowolenia.

Miała proste, bardzo jasne i błyszczące włosy do ramion, niewielki nos, wystające kości policzkowe oraz szare, duże jak u dziecka oczy z nienaturalnie długimi rzęsami. Takimi rzęsami, które w naturze wprawdzie nie występują, lecz są dostępne za tysiąc złotych w każdym ekskluzywnym gabinecie kosmetycznym.

– Nie chciałem cię obudzić.

– Nie kłam. Wiesz, że nigdy nie śpię o tej porze.

Rzeczywiście była już ubrana i umalowana. Z rozdrażnieniem bębniła czerwonymi paznokciami o szklany blat stołu. Z jej twarzy wiało chłodem.

„Tu jest jak w prosektorium – pomyślał. – Jeszcze chwila i z ust zaczniesz mi lecieć para”.

– Kochanie – próbował ją uspokoić bez przekonania. – Siedzisz tu tak cicho... Naprawdę myślałem, że jeszcze śpisz.

Chciał ją pocałować, ale kobieta odwróciła głowę.

– Daj spokój. I przestań być taki... łzawy. Matko! Mógłbyś choć raz zachować się jak mężczyzna – powiedziała gniewnie. – Jesteś taki, taki... Nawet kiedy ktoś cię opluwa, mówisz, że to deszcz pada...

– Nie kłóćmy się. – Opadł na krzesło naprzeciwko, uświadamiając sobie, że zupełnie stracił apetyt. – Jestem taki zmęczony.

– Oczywiście, ty zawsze jesteś zmęczony! Co ja sobie myślałam, kiedy za ciebie wychodziłam? Przecież ty masz temperament lemura. I ten ciągle zdziwiony wyraz twarzy. Jakbyś nie rozumiał, co się do ciebie mówi. Jeśli z tobą zostanę, zmarnuję życie. Swoje najlepsze lata. Rozumiesz?

Wstała szybko i nie czekając na odpowiedź, rzuciła przez ramię:

– Pewnie jak zwykle straciłeś poczucie czasu i nie pamiętasz, że jest sobota. – Zabrała gazety, a filiżankę po kawie wstawiła do zmywarki. – Wyjeżdżam. Wracam jutro wieczorem.

Mężczyzna na chwilę oprzytomniał.

– Dokąd?

– Litości! – Wymownie podniosła oczy ku niebu. – Mówiłam ci przecież tysiąc razy. Do spa. Z moją siostrą.

„Nic nie mówiłaś” – pomyślał, lecz ku własnemu zdziwieniu odetchnął z ulgą. Jeszcze rok temu pobiegłby za nią, może próbował przeproszać za błędy, których nie popełnił, ale teraz...

Usłyszał trzaśnięcie drzwi.

– Karolina... – wyjęczała Ina. – Karolina, to chyba juuuuz!

– Spokojnie. – W słuchawce rozległ się zaspany szept przyjaciółki. – Połóż się i zacznij zapisywać częstotliwość skurczów. Zobaczysz, pewnie wszystko się wyciszy. Tak jak wczoraj.

– Wyciszy?! Wody mi, kurna, odeszły! Się wyciszy, jak urodzę!

W odpowiedzi dało się słyszeć potok przytłumionych słów wyrzucanych z prędkością serii z karabinu maszynowego: „Cholera, cholera, Radek, wstawaj, cholera, zaczęło się!” i odgłosów nerwowego biegania po mieszkaniu. Po chwili Karolina znów odezwała się do słuchawki, tym razem nienaturalnie spokojnym głosem psychoterapeuty:

– Ina, kochanie, bez paniki. I pamiętaj o oddychaniu. Oddychaj!

– Przecież oddycham. To chyba ty masz z tym jakiś problem. Strasznie dyszysz mi w ucho.

– Nie wymądrzaj się. – Przyjaciółka zaczerpnęła głośno powietrza, bo rzeczywiście ostatnie zdanie wypowiedziała na bezdechu. – Ubierz się i dopakuj torbę... Albo nie. Nie! Jak przyjadę, to ci pomogę. Będziemy za piętnaście minut. Nie ruszaj się z łóżka.

– No pewnie. – W głosie Iny słychać było rozpacz. – Mam leżeć w tej kałuży? Zgłupiałaś chyba!

– No to czekaj w wannie. Zresztą nie, może nie w wannie, bo jak się, nie daj Bóg, wywrócisz, to... Nie wchodź do wanny! Słyszysz?! W żadnym wypadku, za żadne skarby świata nie wchodź do wanny! Po prostu czekaj! Nic nie rób! Radek, gdzie są klucze do samochodu? Będziemy... Radek... No gdzie są te pieprzone kluczyki...?! Będziemy za kilka minut. Tylko spokojnie.

Ina odłożyła słuchawkę.

„Spokojnie” – pomyślała z sarkazmem, z trudem podnosząc się z łóżka. Rzuciła okiem na białe łóżeczko stojące w kącie pokoju i nagle do niej dotarło.

„Matko, to już! Już nie ma odwrotu!”.

Nie czuła jeszcze skurczów. Coś ją mrowiło w dole brzucha, ale było to wrażenie dość delikatne, podobne do tego, które kilka dni wcześniej wywołało u niej panikę. Jednak wtedy to nie było właściwe „już”, tylko skurcze przepowiadające, jak jej fachowo wytłumaczył lekarz. Organizm przygotowywał się do porodu. Teraz za to nie miała żadnych wątpliwości – zaczęło się.

Z szafy wnekowej w przedpokoju wyjęła wiadro z mopem i próbując zachować pogodę ducha, zabrała się do wycierania podłogi. Kątem oka spozjrzała w duże, stare lustro. Olbrzymi brzuch zupełnie nie pasował do jej drobnej postaci, a zbyt dziecięce rysy twarzy sprawiały, że wyglądała jak mała dziewczynka. Dwudziestoosmioletnia dziewczynka w ciąży. I z mopem.

Przez całe dorosłe życie nie mogła bez okazania dowodu kupić butelki wina, a teraz, kiedy od wielu miesięcy jej ciąża była widoczna, musiała wysłuchiwać na ulicy kąśliwych komentarzy: „Co za czasy, dzieci rodzą dzieci”.

Nie zdążyła zetrzeć drugiej serii wód, które chlusnęły, gdy właśnie uporała się z pierwszą, kiedy w drzwiach stanęła Karolina. Jej elegancka przyjaciółka miała na sobie dżinsy, sportową bluzę narzeczonego, a na nogach – o zgrozo – buty na płaskiej podeszwie. Burza rudych włosów, skręconych w miliony spiralek, opadała jej na oczy.

– No nie patrz tak na mnie – powiedziała z wyrzutem. – Spieszyłam się. Przecież jadę odbierać poród.

– Towarzyszyć przy porodzie – sprostowała Ina. – Chociaż jak jeszcze trochę tu postoiemy, nie zdążę do szpitala i rzeczywiście zostaniesz położną.

– O matko jedyna! Czujesz już główkę?

– No oszalałaś do reszty – westchnęła dziewczyna.

Nagle w drzwiach pojawił się półprzytomny z niewyspania Radek.

– Jak tam, Ina? Rodzimy?

Odpowiedziała mu narzeczona:

– Rodzimy, rodzimy. Człowieku, ile można parkować? Dopakuj jej torbę, a Ina do łazienki. Będę cię trzymać, żebyś orla nie wywinęła.

Przyjaciółka nie tylko pomogła Inie się umyć, ale w dodatku ją umalowała – aby noworodka poraził widok pięknej matki. Ina nie rozumiała sensu tych zabiegów, bo było jej wszystko jedno, jak wygląda, jednak nie zamierzała dyskutować. Nie z Karoliną – dyrektor do spraw rentowności i kosztów dużego banku, która żelazną ręką trzymała swoich podwładnych. Jeśli uznała, że rodząca kobieta musi odpowiednio się prezentować, trudno. Zresztą Ina potrzebowała teraz czyjegoś wsparcia. Nawet jeśli to wsparcie niewiele miało wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Po dłuższej chwili, jaką normalnej kobiecie zajmuje makijaż, siedziały w aucie, które pewnie i szybko prowadził Radek. Ulice były puste, więc do szpitala dojechali błyskawicznie. Szalony pomysł Karoliny – że przyjaciółka na pewno urodzi w samochodzie i zostanie opisana w prasie – ku radości Iny nie doszedł do skutku.

O ile ulice o tej porze były wymarłe, o tyle na porodówce tętniło, a właściwie kopało i wierzgało życie. Że też dzieci lubią rodzić się po nocy – jakby nie mogły poczekać do rana. Przez tłum przerażonych mamuszy w różnym stopniu zaawansowania porodu Ina, podtrzymywana przez Karolinę, przedarła się do rejestracji.

Przyjaciółka zaczęła bez tchu:

– Rodzimy! Wody nam odeszły!

– Dzień dobry – powiedziała flegmatycznie siostra dyżurna, nie podnosząc nawet wzroku znad ekranu komputera. – Jak to: rodzimy? Obie? Która z pań?

– No przecież nie ja – rzekła zde gustowana Karolina, dotykając odruchowo płaskiego brzucha wypracowanego na jakimś szatańskim urządzeniu z telezakupów i piorunując siostrę spojrzeniem. – Ani nie on. – Wskazała stojącego pół kroku za nimi Radka, uginającego się pod ciężarem torby kolosalnych rozmiarów.

– Jak rozumiem, pan jest szczęśliwym tatusiem? – zapytała spokojnie pielęgniarka.

– Tatusiem? – Karolina zrobiła niezbyt mądrą minę. – Może wygląda dość... hmm... poważnie, ale zaręczam pani, że to nie mój ojciec, tylko narzeczony!

Siostra, z wyrazem twarzy osoby, która nie takie rzeczy w życiu widziała, ogarnęła czujnym spojrzeniem całą trójkę, po czym, ignorując Karolinę, zwróciła się do Iny.

– Czyli to nie jest ojciec dziecka?

– Nie. – Ina pokręciła głową.

– A więc kim są dla pani ci państwo?

Tu pielęgniarka wskazała przestępującą niecierpliwie z nogi na nogę Karolinę i Radka.

– To moi przyjaciele. Będę rodzic z przyjaciółką.

Kobieta wzniosła oczy do nieba.

– To miej cię, Panie, w swojej opiece! – oświadczyła z dezaprobatą, po czym dodała: – Kiedy odeszły wody?

– Niecałą godzinę temu! – rzuciła Karolina.

Siostra posłała jej karcące spojrzenie.

– Rodzącą pytałam.

– No... Jakies czterdzieści pięć minut temu – powiedziała niepewnie Ina.

– Skurcze?

– Co cztery minuty.

– No to mamy czas. Proszę mi podać swoje dane, a zaraz przyjmie panią lekarz.

Podczas gdy Ina posłusznie wręczała dyżurnej kolejne dokumenty, Karolina nerwowo przemierzała korytarz, co chwilę rzucając kilka słów w stronę Radka.

– Ja nie wiem, jak oni tu pracują. Przecież zanim Ina wypełni te wszystkie papiery, sama zdążę zająć w ciążę i urodzić.

I rzeczywiście trochę to trwało, nim pojawił się lekarz – ogłaszając wszem i wobec akcję porodową za rozpoczętą. Wcześniej oddziałowa zdołała zmusić Inę do zmycia świeżo zrobionego manikiuru – na wypadek gdyby coś poszło nie tak, „bo na paznokciach najłatwiej zauważyć zasinienia” – a przemiła położna zaprowadziła ją na salę. Minęła następna godzina i dyskretnie dotąd ćmienienie w dole brzucha zaczęło przechodzić w uciążliwe klucie.

Karolina była nieoceniona. Odesłała Radka do domu, a sama, po wtargnięciu na porodówkę, pomogła Inie włożyć zieloną koszulę nocną z żółtą aplikacją przedstawiającą żyrafę. Nie mogła się jednak powstrzymać przed wygłoszeniem krytycznej uwagi:

– Mało seksowna.

– Temu mężczyźnie naprawdę będzie wszystko jedno – wystękała Ina, dotykając ogromnego brzucha, który znajdował się niebezpiecznie blisko jej kolan. – Dzieci przez pierwsze tygodnie niewiele widzą.

– Zgłupiałaś. O przystojnych lekarzach myślę...

– Jak mnie zobaczą z rozwarciem na dziesięć palców, to i tak nikt się nie skusi. Nawet gdybym wskoczyła w czarne koronki i lateks.

– Wróżę ci staropanieństwo – zawyrokowała grobowym tonem jej przyjaciółka.

W tej samej chwili na salę wróciła położna.

– I jak tam skurcze, pani Balbino...?

– Ino – poprawiła ją dziewczyna. Nienawidziła imienia, na które kiedyś uparła się jej ekscentryczna matka. – Coraz częstsze. I boli okropnie.

– Rozwarcie na trzy palce – oceniła położna. – Daleka droga przed nami.

Ale nie miała racji. Już pół godziny później Ina darła się wniebogłosy, nie szczędząc wymyślnych obelg osobnikowi, który tak ją urządził, a później zostawił – i teraz na pewno czaruje kolejną naiwną.

– Żeby go piekło pochłoneło – tu kilka razy odetchnęła głęboko, jak ją nauczyli w szkole rodzenia – tego Wszawego Psa!

– Nie tłum swoich uczuć, kochanie – powiedziała Karolina, ściskająca ze współczuciem ramię przyjaciółki. – Myślę, że określenie „pies” jest zbyt łagodne. No i obraża poczciwe zwierzęta...

Ina ponownie odetchnęła, podskakując na dużej piłce, która podobno miała w czymś tam pomagać, ale jak dotąd żadnych cudów nie zdziałała. Nadszedł kolejny skurcz. I tym razem rzeczywiście sobie pofolgowała.

– Kuuuurwaaaatooooochujjeeeeden...! – zawyla przeciągle i na jej twarzy znów zagościł spokój.

Miała parę bezbolesnych sekund, żeby zebrać myśli.

– Karolina! Ja nie wytrzymam, naprawdę nie wytrzymam! Muszę dostać znieczulenie.

Przyjaciółki nie trzeba było długo przekonywać. Zostawiła rodzącą, podrygującą jak w transie na błękitnej kuli, i wybiegła na korytarz.

– Znieczuleniaaaaa! Potrzebuję znieczuleniaaaaa!

Ktoś ją surowo przywołał do porządku, przypominając, że znajduje się na porodówce, gdzie wrzeszczeć mogą tylko noworodki i ciężarne, a nie ich niezrównoważone przyjaciółki. Interwencja przyniosła jednak oczekiwany skutek, bo chwilę później na salę weszła miła położna.

– Zaraz przyjdzie lekarz, ale musi się pani przygotować psychicznie. Zastrzyk jest w plecy, w kręgosłup. Bez względu na skurcz nie może pani nawet drgnąć. – Kobieta pomogła Karolinie usadzić Inę na łóżku.

– Mogą mi się wbić wszędzie, w kręgosłup, w ucho, nawet w oko. Żeby już tylko mnie nie bolało...

Znów zaczęła jęczeć, a wstrząśnięta Karolina poprzysięgła sobie, że z seksem koniec – jeśli harce z facetem mają takie skutki... Z ponurych rozmyślań wyrwał ją jednak kolejny zwrot akcji. Na salę wszedł lekarz. Bardzo przystojny lekarz. A prawdę mówiąc, piękny jak grecki bóg. Chociaż nie, Grecy mają ciemną karnację. A więc jak nordycki bóg. „Istny Odyn!” – przemknęło przez myśl Karolinie.

Doktor wymruczał coś jakby „Dzień dobry paniom” – a może to było raczej „Dajcie mi wszyscy święty spokój” – i nie patrząc na żadną z dziewczyn zaczął przygotowywać znieczulenie. Dopiero gdy odezwał się do Iny, z jego twarzy zniknął wyraz obojętności, zastąpiony znużonym uśmiechem.

– Zrobimy tak. Jak tylko minie następny skurcz, pani powie: „Teraz”, a ja się wkłuję. Na pewno nie zdążę między skurczami – zwrócił się do pożerającej go wzrokiem Karoliny – więc proszę mocno trzymać przyjaciółkę.

Chwilę później Ina poczuła, że skurcz ustępuje.

– Teraz! – wydyszała, a okropne klucie w brzuchu zastąpił przeszywający ból w plecach. Co gorsza, nadszedł kolejny skurcz. Kostki jej palców, zaciśniętych kurczowo na nadgarstku Karoliny, zupełnie zbiały. Niemal w tym samym momencie usłyszała głos lekarza:

– Już. Była pani bardzo dzielna.

Przykleił jej do pleców cienką gumową rurkę, która kończyła się wkłutym w przegub Iny wenflonem.

– Tędy będziemy podawać znieczulenie. Zaraz zacznie działać. Zajrzę do pani za moment.

Wyszedł, a Ina rzeczywiście poczuła różnicę.

– Karolina, ja go kocham. No kocham go normalnie. To najwspanialszy człowiek na świecie.

Karolina nie miała wątpliwości, o kim mówi przyjaciółka.

– Fakt, że niebrzydki. Ale nierozmowny. – Zaniepokojona spojrzała na rozanieloną minę Iny. – Nie wiem, czy on aby nie przesadził z tym znieczuleniem. Wyglądasz, jakbyś się naćpała. I mówisz od rzeczy.

– Kiedy ja go naprawdę kocham. – Ina przeciągnęła się rozkosznie niczym jakaś leśna nimfa, najwyraźniej zapominając o swoim gigantycznym brzuchu.

– Miło mi to słyszeć – dobiegło od progu. – Rozumiem, że znieczulenie już działa.

Doktor podszedł, żeby sprawdzić, czy igła nie wypadła, i bezceremonialnie podniósł zieloną koszulę z żyrafą. Ina poczuła się głupio – teraz, kiedy przestało boleć, nie było jej wszystko jedno, komu pokazuje gołe plecy. No i to, co zwykle znajduje się poniżej. Ukrywając zawstydzenie, zaczęła paplać jak najęta.

– Chyba naprawdę pana kocham i obiecuję, że mój syn też zostanie lekarzem. Na pana cześć! To taki wspaniały, humanitarny zawód – wyrzucała z siebie kolejne zdania z niezbyt przytomnym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Mam nadzieję, że padło jej na głowę tylko czasowo – wtrąciła Karolina.

Lekarz był już przy drzwiach.

– Tak, tak, to przejdzie. To tylko skutek szoku. Organizm, który przestaje odczuwać ból, po prostu nie może uwierzyć w swoje szczęście. Dlatego codziennie słyszę po kilkanaście miłosnych wyznań.

Teraz to on posłał im trochę nieobecny, ale ujmujący uśmiech i zniknął na korytarzu.

Natura robiła swoje, znieczulenie swoje. Poród toczył się sam, z rozpędu, a one mogły wreszcie ustalić kilka spraw. Dochodziła bowiem siódma rano.

– Czy mam już dzwonić do twoich rodziców? – zapytała Karolina.

– Jeszcze nie. Znasz mamę. Staranowałyby drzwi i wdarła się na porodówkę siłą, żeby potrzywać mnie za rękę. Jak Kajtek będzie po drugiej stronie brzucha, to wtedy...

– Wiesz, że ona mi tego nie wybaczy.

– A tam, nie wybaczy. Powiesz parę słów o jej ostatnim obrazie i znów będziesz najmądrzejszą, najpiękniejszą i najlepiej znającą się na sztuce przyjaciółką jej córki.

Mama Balbiny była osobą pełną sprzeczności, które, co dziwne, doskonale się razem czuły w szczupłym ciele pani Małgorzaty Górejko. Znana malarka, z natury egocentryczna, najbliższych darzyła olbrzymią (i zaborczą) miłością. Dlatego, gdy jakiś czas temu Ina zakomunikowała jej, że to Karolina będzie obecna przy porodzie, nie kryła rozczarowania. Córka jednak nie dała się przekonać do zmiany decyzji. Porodówka mogłaby nie przetrwać zderzenia z panią Małgorzatą.

Dwie godziny później, dwudziestego szóstego czerwca, o dziewiątej rano – wśród niecenzuralnych okrzyków młodej matki – na świat przyszedł mały chłopiec. Kajetan Górejko.

Jego ciepłe ciało od razu przywarło do nagiego brzucha Iny, która w tym momencie zrozumiała, że już nie potrzebuje innego mężczyzny.

– Ina, jaki on słodki. – Karolina wyglądała, jakby sama właśnie urodziła. Była spocona, a rude włosy oblepiły jej twarz.

– A nie uważasz, że trochę przypomina tego... – Ina zniżyła głos – ...Wszawego Psa?

– A tam. I co z tego. Pan Wszawy Pies jest w gruncie rzeczy dość przystojny. – Mordercze spojrzenie przyjaciółki nieco ją zmroziło. – Nie patrz tak na mnie. Tobie chyba też się podobał? W każdym razie przez tę chwilę potrzebną do wiesz czego?

Na obie kobiety spoglądały zamglone chabrowe oczęta. Mały, prosty nosik górował nad ślicznymi dużymi ustami – niewątpliwie odziedziczonymi po mamie.

Na kanapie, z nogami opartymi o stylowy stolik, siedziała kobieta bez wieku. Usta miała umalowane na jaskrawoczerwono, a jej wysportowana sylwetka mogłaby należeć do dwudziestolatki, choć wokół oczu widać było cienką siateczkę zmarszczek. Paliła papierosa i piła kawę z porcelanowej filiżanki, gdy nagle ciszę przerwał głos wokalistki o narkotykowej reputacji, która z pasją wyśpiewywała: *They tried to make me go to rehab, but I said no, no, no.*

Kobieta niechętnie odłożyła papierosa i sięgnęła po komórkę.

– Halo?

To, co usłyszała, sprawiło, że zerwała się na równe nogi.

– A ty dzwonił dopiero teraz?! – Wcześniejszy spokój na jej twarzy zastąpiła nerwowość. – Oczywiście! Zaraz będę.

Przerwała połączenie i wrzuciła niedopalonego papierosa do filiżanki.

Na sali poporodowej leżało kilka kobiet tulących do piersi noworodki. Wśród nich krzątała się Karolina, rozpakowująca wielką torbę.

– Karo – zaczęła Ina, wpatrzona w maleńkie piąstki synka. – Może wrócisz do domu i się prześpisz?

– Nie ma mowy. Zaraz będzie tu twoja mama. Pójdę, jak mnie zastąpi. – Na nocnej szafce przyjaciółka ułożyła chusteczki odświeżające i zasypkę do niemowlęcych pośladków. – Przecież nie zostawię was samych.

Nachyliła się znów nad torbę, z której ze źle ukrywanym obrzydzeniem wyciągnęła wątpliwej urody beżowy stanik do karmienia. Trzymała go w dwóch palcach, tak że smętnie zadyndał w powietrzu.

– A poza tym, znając twoją wrażliwość, wolę być przy pierwszej kupie.

– Bez przesady. – Inę oburzył ten brak wiary w jej matczyne kompetencje.

Szybko jednak musiała przyznać rację Karoli, bo pierwsza Kajtusiowa kupa – fachowo zwana smółką – okazała się (ogłędnie rzecz ujmując) dosyć płynna, a usunięcie jej z różowej pupki rozwrzeszczanego noworodka wcale nie było łatwe. Tym bardziej że Ina nadal czuła się tak, jakby nad ranem pobiegła w maratonie. „Choć pokonanie tego dystansu prawdopodobnie nie skutkuje rozdzierającym bólem w kroczu” – pomyślała, z wdzięcznością patrząc na Karolinę, która zajęła się Kajtkiem.

Niewątpliwie przyjaciółka stanęła na wysokości zadania, ale teraz, gdy Ina przyglądała się jej postaci pochylonej nad przewijakiem, poczuła ukłucie żalu. To nie Karolina powinna być przy niej, lecz Maks. A właściwie nie Maks – jak kazał się nazywać – tylko Przemysław.

Ich romans, choć krótki, był gorący. Poznali się w studiu telewizji śniadaniowej. Ina miała wystąpić jako gość i opowiedzieć o akcji społecznej organizowanej przez jej gazetę. Gwiazda mediów, rozchwytywany prezenter, obłudnie przystojny Maks Wszawski zaczął ją, zanim jeszcze weszli na wizję, i z miejsca oczarował, tak że zupełnie nie mogła się skupić na pytaniach. Kiedy kamera filmowała tylko ją, robił słodkie minki i pokazywał, jak to nagle zabiło mocniej jego serce, więc w rozmowie, która niestety toczyła się na żywo, wyszła na kompletną idiotkę. Kompromitacja Iny nie zniechęciła jednak pana Wszawskiego, bo gdy tylko dziewczyna zeszła z wizji, pociągnął ją na bok i poprosił o numer telefonu – Wszawy Pies! Na pewno nie była pierwszą ani nie ostatnią, która dała się tak omotać. Przysyłane do redakcji bukiety kwiatów, czułe esemesy, w których zapewniał o wiecznej miłości, i równie czułe pocałunki sprawiły, że jej zdrowy rozsądek gdzieś się zapodział. Ina zakochała się na zabój.

To, że jest w ciąży, uświadomiła sobie po czterech upojnych miesiącach od owego fatalnego zauroczenia – i fatalnego telewizyjnego występu. Podobno w mózgu człowieka zakochanego wytwarza się jakiś związek chemiczny, który sprawia, że czujemy się tak, jakby ktoś nieprzerwanie dostarczał nam kroplówki z czekoladą. Może właśnie ów arcyzdradziecki związek chemiczny doszczętnie wypalił jej instynkt samozachowawczy? W każdym razie dwie kreseczki na teście ciążowym wcale nie przyprawiły Iny o rozpacz – „O Boże, wpadłam i co ja teraz biedna zrobię!” – lecz wywołały zupełnie nieuzasadnioną euforię – „Teraz będziemy żyć długo i szczęśliwie z naszym różowym bobasem, Maksem juniorem”.

Przygotowała uroczystą kolację ze świecami, na obrusie rozsypała płatki róż, a na talerzu ukochanego położyła pięknie zapakowane pudełeczko z testem ciążowym. Cała promieniała radością (i chyba tym związkiem chemicznym). Usiedli do kolacji, ale poprosiła, by Maks otworzył prezent po jedzeniu – i to chyba nie był dobry pomysł.

Kiedy nadeszła wzruszająca chwila i luby zająknął do pudełeczka, w jednej chwili zbladł i wykonał gest, jakby zbierało mu się na wymioty. Zerwał się gwałtownie i zasłaniając usta, w tempie pociągu TGV wpadł do łazienki, gdzie zza drzwi zaczęły dochodzić dziwne odgłosy. Ina w swojej naiwności pomyślała, że biedakowi zaszkodziła kolacja i że być może otruła ojca własnego dziecka. Kochany tatko uszedł jednak z życiem i po kilku minutach, z twarzą o barwie poszarzałego prześcieradła lub, jak kto woli, mydła Biały Jeleń, stanął w przedpokoju. Ina rzuciła się w stronę nieszczęśnika, ale ten z niewyraźnym uśmiechem pogłaskał ją tylko po głowie, delikatnie od siebie odsunął i stwierdził, że musi sobie podnieść ciśnienie, a zapomniał papierosów. Skoczy więc tylko do kiosku i zaraz będzie z powrotem.

Widocznie najbliższy kiosk był zamknięty, bo ukochany dość długo nie wracał. Czyżby poleciał po tytoń do samej Brazylii? Do Iny to, że Przemysław Wszawski alias Maks alias Pan Wszawy Pies wcale nie chce zostać tatusiem, dotarło dopiero następnego dnia. Zdała sobie wtedy sprawę, że jego telefon milczy nie dlatego, że ukradł mu go jakiś przebiegły złodziej, który z niewiadomych względów postanowił stanąć Inie na drodze do macierzyńskiego szczęścia – lecz dlatego, że został z rozmysłem wyłączony. Nagle cała chemia gdzieś wyparowała, a Ina załamała rękę.

Przez tydzień popłakiwała po kątach, ale gdy emocje opadły, z niezrozumiałych nawet dla niej samej powodów postanowiła, że urodzi to dziecko. Oczywiście podjęcie decyzji okazało się o niebo łatwiejsze niż przekonanie otoczenia – a przede wszystkim pani Małgorzaty – że jednak nie postradała zmysłów i tak, da sobie radę sama, tak, wie, jaka to odpowiedzialność, nie, nie liczy, że Pan Wszawy Pies zmieni zdanie. Matka ubolewała nad rozwiązłością i brakiem rozumu córki, Karolina zachowywała neutralność jak Szwajcaria, choć musiała być zaskoczona niebywałym aktem odwagi (lub głupoty) przyjaciółki, a wszyscy redakcyjni koledzy pukali się w czoło, patrząc na jej coraz większy brzuch. I tylko pan Zygmunt Górejko zachowywał spokój, pewny, że córka wie najlepiej, co robić. Jego zimna krew początkowo doprowadzała panią Małgorzatę do spazmów, ale gdy minęło kilka miesięcy, nastąpił cud – pani Górejko z rozszalałej furii przeobraziła się w łagodną jak baranek przyszlą babcie rozmyślającą o wyprawkach, łóżeczkach, pieluchach i lekcjach angielskiego dla niemowląt.

– Hipolit musi od dziecka uczyć się języków obcych. Angielski, niemiecki, francuski. Dobrze, żeby poznał chiński. Chiny to dziś potęga.

– Mamo, jaki Hipolit? Hipek, syn Balbiny? Chcesz, żebym skrzywdziła własnego syna? Po moim trupie! – Ina nie dała się namówić na oryginalne imię („Ależ to po twoim pradziadku!”) ani też na chińskiego nauczyciela dla noworodka.

A jednak pani Małgorzata się uparła i postanowiła zaplanować życie wnuka na najbliższe trzydzieści lat. Nikt w całej Warszawie nie znał się lepiej niż ona na markach wózków, składzie chemicznym mleka modyfikowanego i testach fotelików samochodowych. Wpadła w szał zakupów, a na sterroryzowanych sprzedawców w sklepach z artykułami dziecięcymi padł błąd strach.

Ina z coraz większym przerażeniem przyglądała się tym przygotowaniom, obserwując rosnące barykady pudeł, które teraz wyzierały z każdego kąta pięknego domu państwa Górejków. Oczywiście pani Małgorzata nie chciała słyszeć o powrocie córki do jej „klaustrofobicznego” mieszkania na Powiślu, więc po burzliwej dyskusji ustalono, że pierwsze miesiące po porodzie Ina spędzi z dzieckiem u rodziców – na Mokotowie.

Tymczasem Pan Wszawy Pies wyparował z głowy dziewczyny, lądując gdzieś na marginesie tej historii.

Zanim przyjaciółki zobaczyły świeżo upieczoną babcię, usłyszały na korytarzu jej przenikliwy głos. Widocznie na drodze zdenerwowanej kobiety nieopatrznie stanął ktoś ze szpitalnego personelu. Po chwili pani Małgorzata, ubrana w jasne spodnie i lazurowy bliźniak, podbiegła do łóżka córki, objęła ją i powiedziała scenicznym szeptem:

– Balbinko, córeczko, jaka ja jestem szczęśliwa. Jak się czujesz, skarbie? Musisz mi opowiedzieć o całym porodzie ze szczegółami. Gdzie maleństwo? – Rozejrzała się w poszukiwaniu wnuka, którego niosła już Karolina. – Jaki on uroczy.

– Mamo, nie musisz szeptać. Na razie hałas mu nie przeszkadza.

Piękne dłonie babci ujęły delikatnie małe ciało zawinięte w becik.

– Mój maleńki. Mój Hipolit...

– Mamo! Już o tym rozmawialiśmy. To jest Kaj. Kajetan.

– Oj, dobrze, dobrze. Będzie, jak zechcesz, chociaż osobiście uważam...

– Mamo!

Na ratunek Inie pospieszyła Karola.

– Pani Małgosiu, ja też uważam, że lepiej pasuje do niego Kaj. To takie... romantyczne imię. Mnie się Kaj kojarzy... z *Królową śniegu*. Pamięta pani: Gerda i Kaj. A o Hipolitach to można przeczytać co najwyżej w jakiejś nudnej pozytywistycznej powieści.

– No dobrze, niech będzie Kajetan. – Pani Małgorzata spojrzała w chabrowe oczy noworodka i jej własne również zrobiły się jakieś niewyraźne, wilgotne. – I co zamierzasz? – Poglądziła dłoń córki. – Dziecko powinno mieć ojca. A przynajmniej jego nazwisko.

– Nigdy w życiu, mamo. Po moim trupie. Nie chcę znać tego parszywca.

– A nazwisko?

– Chyba lepiej być dzieckiem samotnej matki i nazywać się Górejko niż mieć tatusia i nazywać się Wszawy.

– Wszawski, kochanie – poprawiła ją spokojnie pani Małgorzata. – Nie unos się tak. Teraz musisz odpoczywać. Ja i tata wszystkim się zajmiemy.

– Wszawy, Wszawski, jeden pies. Ale jak do niego zadzwonisz, to ci tego nie wybaczę – zagroziła córka.

I tak zakończyła się dyskusja na temat domniemanego Kajetana Wszawskiego, który jednak miał pozostać Górejką.

Telefon Iny dzwonił przez cały dzień. Naturalnie każdemu musiała opowiedzieć o niezwyklej urodzie synka i o bezmiarze szczęścia, jakie ją spotkało. Wieczorem była już pewna, że bardziej zmęczyły ją gratulacje niż sam poród.

Odwiedziny gości na oddziale kończyły się o dwudziestej i pan Zygmunt Górejko zdążył w ostatniej chwili. Pojawił się w drzwiach z bukietem kwiatów, ogromnym pluszowym misiem i małym aksamitnym puzderkiem od znanego jubilera. Wycałował córkę, wręczył jej podarunek i wziął na ręce Kaja.

– Tato, nie trzeba było – powiedziała Ina, oglądając śliczny pierścionek z szafirem.

– Ależ trzeba było, kochanie, za tego pięknego kawalera. Prawda, że jest do mnie podobny?

– Zupełnie nie – zaprzeczyła ze śmiechem pani Małgorzata. – Na szczęście bardziej przypomina swojego... – Piorunujące spojrzenie córki przywołało ją do porządku. – Swoją mamusię, naturalnie.

– E tam. Zobacz. – Pan Zygmunt ostrożnie dotknął twarzyczki śpiącego chłopca. – Ma mój nos i podbródek.

Przyporządkowywanie różnych fragmentów Kajtka do poszczególnych przedstawicieli rodu Górejków trwało jeszcze chwilę, a potem, z nadejściem godziny dwudziestej, pielęgniarka wyprosiła gości.

Ina czuła się tak wyczerpana emocjonującym dniem, że zasnęła w drodze do poduszki. Jednak o spokojnej nocy nie mogło być mowy...

Tymczasem rozpromieniona pani Małgorzata, rozparta w samochodzie, stukała czerwonymi paznokciami o skórzany podłokietnik i rozmyślała o swojej nowej roli – najlepszej babci na świecie. Czas miał pokazać, jak bardzo przeceniła swoje umiejętności.